

Czterdzieści lat radia w Poznaniu

Rozmowa ze Stanisławem Kubiakiem
redaktorem naczelnym Rozgłośni

Czterdzieści lat temu: 24 marca 1927 r. hejnałem z wieży ratuszowej rozpoczęła pracę Rozgłosnia Poznańska. Od tego momentu radio towarzyszy nam codziennie dostarczając do domu muzykę, rozrywkę, słuchowiska, informacje. Z okazji jubileuszu rozmawiamy dzisiaj o początkach poznańskiego radia, jego dniu aktualnym i planach rozwoju, związanych z budową w Poznaniu wielkiego nowoczesnego centrum radiowo-telewizyjnego na Ratajach, z redaktorem naczelnym Rozgłośni Poznańskiej — Stanisławem Kubiakiem.

— W przededniu jubileuszu chętnie powracają chyba radiowcy do wspomnień, do historii radiofonii w Poznaniu. Może przypomni więc Pan nam właśnie te początki radia poznańskiego, etapy jego rozwoju. Zainteresuje też zapewne naszych czytelników, jakim zmianom ulegał w ciągu tych 40 lat praca radiowców i samego radia?

— Rozgłosnia Poznańska powstała jako trzecia w kraju, po Warszawie i Krakowie. Budowa rozgłośni w Poznaniu była w planach Polskiego Radia dopiero na lata trzydzieste. Poznań znacznie wcześniej chciał mieć jednak radio. Miasto przy pomocy Związku Miast Wielkopolskich zaczęło gromadzić fundusze. Powstało Towarzystwo Radiofoniczne „Radio Poznańskie”, które zakupiło aparaturę o sile 1,5 KW. Do 1934 r. radiostacja poznańska pracowała całkowicie samodzielnie, bez żadnych połączeń z Warszawą. Potem Polskie Radio przyjęło placówkę poznańską. Rozgłosnia otrzymała wtedy stację nadawczą o mocy 16 KW, a w 1937 roku drugą — 60-kilowatową, już na falach europejskiego zasięgu. Praca radiowców z pierwszej rozgłośni „Radio Poznańskie” bardzo różniła się od naszej. Wszystkie programy przygotowywane były „na żywo”, bez magnetofonu. Grono najbliższych współpracowników rozgłośni tworzyli wówczas m. in.: Feliks Nowowiejski, Emil Zegadłowicz, Franciszek Łukasiewicz, z teatrem radiowym współpracował Michał Melina i Stanisława Wysocka. Powojenna historia jest już oczywiście bardziej znana. 2 marca 1945 r. pierwsza transmisja z radiowęży ulicznego, 3 czerwca 1945 r. normalna praca. Rozwój radiofonii po wojnie następował szybko. Już w 1947 roku było w Wielkopolsce 100 000 abonentów, 50 radiolizowanych miast i 300 wsi. W 1958 roku, jest to data przełomowa, Poznań otrzymał 300 KW radiostację, najsilniejszą dotąd w Polsce na falach średnich, w najbliższym czasie ma otrzymać nowoczesne centrum radiowo-telewizyjne na Ratajach.

— Właśnie, to nas bardzo interesuje. Jakie nadzieje wiąże z nim środowisko radiowców, jakiej skali będzie to inwestycja?

— Poważna inwestycja dla radia i telewizji już od dawna potrzebna jest Poznaniowi. Obecnie radio ma trudne warunki pracy, mieści się w 8 różnych punktach miasta. A zadania programowe ma coraz większe. Wystarczy wspomnieć, że program nasz wypełnia dziennie ponad 4 godziny, oraz 1 godzinę na antenie ogólnopolskiej. Nowe centrum radiowo-telewizyjne ma powstać do roku 1970 w prawobrzeżnej części miasta na Ratajach. Pierwszy wstępny projekt całości budowy został już zaakceptowany przez Komitet Budowy, któremu przewodniczy Jerzy Kusiak. Centrum obejmie kompleks studiów radiowych i telewizyjnych, zaplecza magazynowe dla teatrów, 70-metrową wieżę przekaźnikową oraz salę koncertową na 900 osób. Stala ta wykorzystywana będzie do galowych koncertów transmitowanych z niej bezpośrednio na antenę. Posiadając ją będziemy mogli zwiększyć liczebność zespołów artystycznych przed mikrofonem, m. in. chóru radiowego. Sala ta będzie też mogła być wykorzystana dla różnorodnych imprez. Może ona stać się centrum kulturalnym nowej wielkiej dzielnicy prawobrzeżnego Poznania.

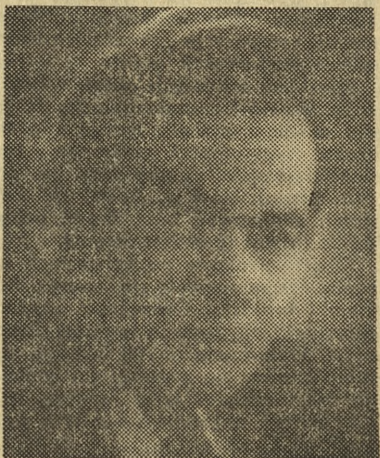
— Czy budowa centrum spowoduje też jakieś zmiany programowe? Program radiowy Poznania pozostaje od lat w marażu z Bydgoszczą. Czy będziecie się starali utrzymać go po zbudowaniu centrum? Nie ukrywam, że mnie osobiście bardzo drażnił niekiedy bydgoska kronika lokalna na poznańskiej antenie.

— To są dwie różne sprawy. Budowa ośrodka na to nic nie pomoże. Współpraca ośrodków regionalnych na jednej fali spowodowana jest brakiem fal, łukiem w eterze. Polska radiofonia może korzystać obecnie tylko z 6 fal, dawniej miała ich do dyspozycji 17. Problem ten może być rozwiązany tylko przy pomocy przejścia na fale ultrakrótkie i krótkie. A jak wiadomo nie jest to proste. Tylko najlepsze jakościowo radioodbiorniki dysponują falami ultrakrótkimi. W niewielkim jeszcze stopniu odbiorniki te posiadają

abonenci. Niewątpliwie jednak tylko przejście programów lokalnych na fale UKF zapewni im pełną programową samodzielność poszczególnych radiostacji.

— Czy radio nie boi się już obecnie konkurencji telewizji? Co robi, aby sprostać nowej sytuacji i nowym zadaniom? Czy posiadacie jakieś dane, mówiące o liczbie odbiorców radia i tv?

— Wbrew pozorom radio i telewizja nie są konkurentami. Są to różne ośrodki upowszechniania, które na pewno jednak powinny się na wzajem uzupełniać. Kiedy wynaleziono kinematograf obawiano się, że sale teatralne będą puste, a tak się przecież nie stało. Podobnie rzecz ma się z telewizją. Dane liczbowe zdają się też to potwierdzać. Oczywiście zakupuje się teraz proporcjonalnie więcej aparatów telewizyjnych. Ale w liczbach bezwzględnych i tu i tam daje się zauważyć nie-



Stanisław Kubiak

ustanny wzrost. Radio pod względem technicznym nie stoi przecież w miejscu. Wynalezienie aparatów tranzystorowych np. poszerzyło znacznie zasięg odbiorczy radia, stworzyło możliwość słuchania radia w podróży, na ulicy, na plaży. Tego

Dokończenie na str. 2

Przepraszam, czy można?

Jadą goście, jadą, na przykład z Ameryki, odwiedzają „stary kraj” i nadziwić się nie mogą, jak zmienia się ich rodzinna wieś, czy miścina, którą opuścili ileś lat temu. — To nie ta sama Polska — zwykli stwierdzać, po czym... uświadamiają co młodszymi członkami rodziny jak to drzewie ubogo bywało.

Tego rodzaju opowieści spowodowały nam i przestały wywierać głębsze wrażenie. Nie tylko dlatego, że można by je liczyć na paczki; przede wszystkim dlatego, że odległa perspektywa, dla dokonania oceny przemian, stała się zbędna. Byłe rodak w kraju między Odrą a Bugiem, gdy trafia w znajome, od paru lat nie widziane strony, dostrzega głęboko sięgające różnice. W wielkich miastach wystarczą trafnić na nie odwiedzaną przez szereg miesięcy ulicę, by zauważyć wyrastającą bryłę fabryki, nowy dom, świeżo zainstalowane neony, zmodernizowane sklepy, bądź ulepszoną jezdnię i chodniki.

I zmiany te — postępujący rozwój kraju — dawno przestały nas dziwić. Przywykliśmy do nich. Dziwić nas obecnie może zjawisko odwrotne: zastoju, braku przemian gospodarczych i społecznych w jakimś zakątku kraju.

Obchody dwudziestolecia Polski Ludowej były okazją do tego, co potocznie zwykło się określać mianem bilansowania. A więc podliczano: ileśmy czego odbudowali, wybudowali i wyprodukowali, ilu ludzi wykształcili. I oto okazało się, że tak jak jednolite jest stanowisko ogółu Polaków w sprawie naszych granic — tak też obywateli PRL, razem i z osobna, dumni są z dokonanych ostatnich dziesięcioleci. Optymiści i sceptycy, młodzi i starsi poci oboj

POGLĄDY-POLEMIKI-POSTULATY



DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 286 23 IV 1967 Rok VII

Na zdjęciu: rysunek znanego grafika radzieckiego N. Żukowa zatytułowany „Późno w noc”.

Póździennik siedemnastego roku był chłodny i wietrzny. Wiatry smagały wierzchołki drzew w parku okalającym Smolny, wiatr wpaadał do otwartych drzwi pałacu i hulał po labiryntach korytarzy i obszernych salach, w których kipiała praca jakiejś jeszcze świat nie widział.

Minęły dwa dni od czasu kiedy władza przeszła w ręce rad. Pałac Zimowy był już w rękach robotników i żołnierzy. Rząd Kiereńskiego przestał istnieć... ale każdy wiedział, że to dopiero pierwszy szczebel na skomplikowanej drabinie wiodącej do wolności mas pracujących i zbudowania pierwszej w świecie republiki radzieckiej.

Komitet Centralny partii mieścił się w jednym z mniejszych pokoi Smolnego. Prosty stół pośrodku, gazety w oknach i na podłodze, kilka krzeseł. To wszystko...

Nie pamiętam już w jakiej sprawie przyszedłem wtedy do KC, ale Lenin nie dał mi czasu na zadanie pytania. Gdy tylko mnie ujrzał zdecydował, że powinienem zrobić coś bardziej ważnego, coś bardziej potrzebnego niż to co właśnie zamierzałem.

— Jedźcie natychmiast i zajmijcie ministerstwo opieki społecznej — powiedział. — Jesteście komisarzami ludowym więc trzeba już wziąć się do roboty.

Lenin był spokojny, nieomal wesoły. Rzucił mi jakiś krótki dowcip i już zajął się innymi, którzy przyszli tutaj z mnóstwem spraw i bolączek.

Nie pamiętam już dlaczego, wybrałem się objąć nową funkcję, zupełnie sama. Wyrł mi się tylko w pamięć ten surowy, październikowy dzień, kiedy podjeżdżałem do masywnych oddzwini ministerstwa opieki przy ulicy Kazańskiej. Wysoki, reprezentacyjny szwajcar w libelii otworzył dostojnie drzwi, obejrzał mnie od stóp do głów.

— Kto tu u was pozostał z kierownictwa? — zapytałam.

— Godziny przyjęć skończyły się — rzucił jakby w powietrze reprezen-

ta, trudno zwerbować fachowca do roboty. Jest coś zastanawiającego w tym naszym szacunku dla tego co już się dokonało, dla tego co już zrobiliśmy — i w naszym, raczej nagminnym, braku zadowolenia z teraźniejszości. Ten kontrast pomiędzy wyraźnym różnym stosunkiem emocjonalnym do WCZORAJ i do DZISIAJ — ma w sobie coś specyficznie polskiego.

Dumni — z przeszłości. W miarę sceptyczni — wobec przyszłości.

... I mocno krytyczni wobec dnia bieżącego. Tacy na ogół jesteśmy.

— Ale — dlaczego? Skąd ten, częściej zdawałoby się nazbyt daleko idący, krytycyzm wobec teraźniejszości? Jakże jest pochodzenie codziennych narzekań, powszednie go psiochenia, w którym celujemy? Czy u podstaw leży nasza niecierpliwłość, niezadowolenie z — wciąż jak na nasze wzrastające wymagania — niedosć zwłagego tempa przemian? A może krytyka, pod której ostrzałem znajdują się w Polsce co dzień właściwie wszystko i wszyscy, od nieuprzedzonego konduktora tramwaju po działalność ministerstwa — zrodzona jest z powszechnej troski o nasz, społeczny interes? Może tendencja do krytykowania codzienności wypływa z przyswojonej obywatelom przez partię idei współgospodarzenia krajem, zainteresowania się wszelkimi przejawami jego życia i chęcią jego usprawniania?



Aleksandra M. Kołontaj

PIERWSZY ZASILEK

tacyjny starzec w galowym mundurze.

— Ja nie jestem interesantem. Kto tu jeszcze jest z wyższych urzędników?

— Powiedziałem wam po rosyjsku: przyjęcia interesantów od godziny pierwszej do trzeciej, a teraz, spojrzcie na zegarek, już piąta.

Ja swoje — on swoje.

— Zrozumcie proszę, przyszedłem tu w sprawie służbowej. Gdzie tu kancelaria lub dyżurny?

Aleksandra Michajłowna Kołontaj — radziecka działaczka rewolucyjna, dyplomata i komisarz ludowy, członek KC WKP(b) była jednocześnie publicystką, historykiem i pisarką. Publikujemy dzisiaj jej nieznane wspomnienie o pierwszych dniach władzy radzieckiej.

Nic nie pomogło. Przyjęcia skończyły. Rozkazano nikogo nie puszczać. Próbowałam go zaskoczyć i wejść. Zasłonił sobą drzwi i stał jak mur. Spieszyłam na mityng więc dałam mu spokój.

W te dni mityngi były bardzo ważną częścią naszej pracy. Na nich to w tłumie miejskiej biedoty, wśród żołnierzy, rozstrzygał się decydujący bój: być lub nie być władzy radzieckiej. Utrzymując ją robotnicy i chłopcy w żołnierskich mundurach czy też zwyczajni burżuaż?

Nazajutrz bardzo wczesnym rankiem rozległ się dzwonek u drzwi mieszkania, w którym zatrzymałem się po wyjściu z więzienia. Wszyscy spali ale niecierpliwy dzwonek nalegał. Ktoś wreszcie wstał, podbiegł do drzwi, otworzył.

— Czy tu mieszka komisarz ludowy Kołontaj? — słyszę. — Muszę go zobaczyć. Mam do niego papiererek od tego najważniejszego bolszewika, Lenina.

Stałam przede mną zabiedzony chłop w łapciach i siermiędze. Podał z namaszczeniem karteczkę. Spojrzałam — istotnie, ręką Lenina było napisane: „Wypłacić okazielowi z sum opieki społecznej zasiłek za konia”.

Za konia? Cóż tu ma do rzeczy koni? — pomyślałam.

Staruszek, nie spiesząc się, opowiedział mi całą historię. Jeszcze za cara, przed lutym 1917 roku zarekwirowano dla potrzeb wojska jego jedyne konie. Wzieli siłą, obiecali zapłacić „po bożemu” i więcej się nie pokazali. Chłop czekał jakiś czas, a potem zawiązał trochę jedzenia w tłumoczek i wybrał się do Pitra. Dwa miesiące nawiedzał wszystkie pokoje rządu tymczasowego. Bałagan był wtedy, nie w głowie im konie, więc odsyłali chłopca z urzędu do urzędu. Kiedy stracił resztę nadziei posłyszał, że są jacyś bolszewicy, którzy

Dokończenie na str. 2

Piotr Życki

Kłopoty z teraźniejszością

mawiając najkrytyczniej jej działalność przy kawce w międzyzdrojskim domu wczasowym — jednocześnie gotowi kruszyć ko pie w obronie instytucji o krytonimie FWP, umysławiając komuś, kto nie byłby przekonany, jacy to wybrani dawniej tylko nad morze jeździli. Psioć na handel w czasie oczekiwania na wolny koszyczek w SAM-ie, na sze niewiasty gotowe wieść dyskurs nad burzliwym rozwojem oświaty w ludowym dwudziestolecu. Obywatele w kolejce do lekarza, wyrzekający na porządku w lecznictwie, jakże często roztrząsają położenie pracujących w międzywojennej Polsce, kiedy to, w obawie przed utratą zajęcia, ludziska nieraz rezygnowali z leczenia, unikając chorobowych zwolnień; a dzisiaj? — słyszy się westchnienia — kadrowcy próżno wystają przed urzędami zatrud-

Wszystkiego tego zapewne jest po trosze i zapewne temu (jak i chyba osobliwej przekorności rodaków) przypisać należy osobliwy dualizm w postawie wielu bra ci — Polaków, gotowych petryfikować, to, cośmy zrobili i kręcić nosem na to, co robimy.

Ktoś gdzieś kiedyś powiedział, że teraźniejszości nie ma; jest tylko przeszłość i przyszłość. Bardzo to błyskotliwie brzmi, ale — nie bawiąc się w filozofowanie — dawno temu ludzie umieli się zwać teraźniejszością okresy nieodległe, licząc wstecz i naprzód.

Otóż, jak sądzić rzecz w tym — jaka ta teraźniejszość jest? A wydaje się, że na to pytanie odpowiedzieć nie powinno być trudno tym wszystkim, których dzieci poszły do nowej szkoły, którzy wprowadzili się do nowego mieszkania, u których w domu pojawiły się pralki, albo lodówki, czy telewizory, których rodzeństwo kończy technika lub wyższe uczelnie, którzy jadą za granicę bądź oszczędzają na samochod, obejmują odpowiedzialne obowiązki, zostają społecznymi działaczami. To są zmiany, które dokonują się bieżąco i przy naszym w s p ó ł d z i a ł e. Tak kształtujemy dzisiaj nasze jutro.

I to jest ta nasza teraźniejszość, nabrzmiała pracą i problemami, teraźniejszość, o której zwykliśmy się wyrażać bez entuzjazmu, a którą będziemy lubić i którą będziemy się szczeni za pięć lat, gdy stanie się przeszłością. Przeto, jeśli niełatwo nas skłonić do wielbienia bieżącej do by, zdajmyż sobie przynajmniej sprawę z faktycznej irracjonalności takiej postawy. To jest naprawdę ważna sprawa, od tego za leży także w niemałym stopniu nasze samopoczucie. A nieraz mi się wydaje, że nikt go nam tak dokładnie nie potrafi psuć — jak my sami.

Ano, zagęściło się od edytorskich jubileuszy, a co jeden, to dostojniejszy. Z tym, że z „Ossolineum” trudno się komukolwiek równać. Jak obszył, mija bowiem obecnie równe 150 lat działalności tej wielkiej placówki edytorskiej, a zarazem zbiornicy książek, celującej zwłaszcza w starodrukach, kuźni szeregu inicjatyw, jednym słowem, Fundacji Ossolineum, tak bardzo a bardzo zasłużonej dla dziejów narodowej kultury. Oficjalnym aktem Fundacja Narodowa została powołana do życia w r. 1817, staraniem nader zasłużonego Józefa Maksymiliana Ossolińskiego,

Eugeniusz Paukszt

Jubilat nader dostojny

który cały trud swego życia i cały majątek przeznaczył dla biblioteki. Związana ze Lwowem, wślwiła się drukiem wielu monumentalnych wydawnictw nie tylko z zakresu ścisłej humanistyki, ale także prawa, medycyny i techniki. Wzbogacana darami i zapisami pomnażała swoje zbiory i edytorskie ambicje, aż wrzesień 1939 zdawał się wraz z dalszymi wojennymi konsekwencjami zagrożać dorobkowi i dalszemu losowi placówki. Ocalała w większości zasobów przetrwała jednak wojna, a w czerwcu 1946 r. uchwałą Rady Ministrów umieszczono „Ossolineum” we Wrocławiu, dokąd przybyły pierwsze paki książek z Lwowa. Dzisiaj Wydawnictwo, zwłaszcza z momentem przejścia wydawnictwa PAN-u, jest największym w kraju i jednym z czołowych w Europie. Wszystko, co najbardziej cenne w sprawach kultury, tu przeważnie znajduje miejsce druku.

Nie wymieniam szeregu monumentalnych pozycji wrocławskiej oficyny, staram się zresztą wskazywać

go. Przy tym multum fotografii, tablic herbów, mapy, skórowidze, wykazy bibliograficzne.

Powoli ale konsekwentnie posuwa się też inna edycja, wydawana pod redakcją Stanisława Pigonia — „Listy” Narcyzy Żmichowskiej. Ukazał się tom III — „Miodogórze”, w opracowaniu i z komentarzem Mieczysława Romankówny. Te listy, to pasjonująca lektura, nader bezpośrednio i żywo odsłaniająca życie polskie drugiej połowy minionego wieku. Wiele tu obserwacji, wiele myśli głębokich i trafnych, wiele i anegdoty, i zwykłego kronikarskiego zapisu wydarzeń tej niby to spokojnej na ogół epoki.

Dziedziny słowa pisanego tyczy zredagowany przez Henryka Markiewicza pokazany tom „Problemy

teorii literatury” wielki wybór najcenniejszych prac uczonych polskich opublikowanych po wojnie, związanych z teoretycznymi zagadnieniami nauki o literaturze. Czytelnik ma możliwość bezpośredniego wglądu i porównania różnorodnych orientacji metodologicznych, co nabiera jeszcze głębszego znaczenia przy studium teorii literatury.

Z dziedziny sztuki Aleksandra Melbeckowska — Luty przypomina nam w monograficznym napisanym studium „Teofil Kwiatkowski 1809—1891” zapomnianą a jakże pasjonującą i w swoich kolejach życia i zwłaszcza w twórczości postaci dużego kalibru malarza czasu romantyzmu, powstańca z 1831 roku, związanego później blisko z wielką emigracją, z Chopinem i Mickiewiczem,

autora prześlicznych rodzajowo „Polonezów”, licznych wizerunków Chopina, fascynującego portretu Mickiewicza, w późniejszym zaś okresie twórczości postromantycznych pejzaży, przyciągających nastrojem. Autorka zadada sobie wiele trudu, by

te postać przywrócić pamięci, by uporządkować pozostały w świecie jego dorobek, samemu zaś twórcy zapewnić należne mu miejsce. I to się udało: Kwiatkowski i człowiek, i malarz zostają w pamięci, reprodukowany zaś wybór prawie 100 prac czyni wielkie wrażenie.

I na zakończenie słowo o wydanej w ramach znanej szeregowi pokoleń „Biblioteki Narodowej” nowej pozycji, mianowicie „Wyborowi poezji” K. I. Gałczyńskiego, w wyborze i opracowaniu Marty Wyki, z jej przejrzystym i bardzo wartościowym wstępem wskazującym właściwe miejsce Gałczyńskiego w naszej liryce, miejsce już klasyka.

Pierwszy zasilek

Dokończenie ze str. 1

obietującą naprawić krzywdy wyrządzone przez cara. Trzeba tylko otrzymać karteczkę od głównego bolszewika, którego nazywają Iljicz Lenin. Znalazł więc chłop Lenina w Smolnym, dotarł do niego, wysłuszczył swoją prośbę. Otrzymał upragnioną karteczkę, której nie chciał mi nawet przekazać:

— Będą pieniądze za konia, od dam. Na razie niech u mnie zostanie. Tak pewniej.

Schował kartkę głęboko za pazuchę.

Cóż robić z tym chłopem i jego koniem? Przecież ministerstwo jest jeszcze w rękach urzędników tymczasowego rządu. Paradoksalna sytuacja: rząd w rękach rad, Rada Komisarzy Ludowych bolszewików, a urzędy, jak wagony puszczane na pochylni, jeżdżą sobie po szynach polityki rządu tymczasowego.

Jak zająć ministerstwo? Siłą? Rozbiegną się i zostaniemy bez urzędników. Postanowiliśmy inaczej: zrobić zebranie delegatów młodszych personelu i pracowników technicznych związku zawodowego, do którego należy mini-

sterstwo. A związek to był wyjątkowy, składający się z ludzi różnych zawodów: gońcy, siostry miłosierdzia, palacze, rachmistrze, kanceliści, mechanicy, dozorczy i felcerzy.

Rozpatrzyliśmy sprawę jak to się mówi, wnikliwie. Wybraliśmy radę robotniczą i posłaliśmy zajmować ministerstwo.

Weszliśmy. Portier, niechętny bolszewikom, na zebraniu nie był. Patrzył na nas zezem ale przepuścił bez awantur. Idziemy po schodach do góry, a na nasze spotkanie ciągnie ludzka rzeka: urzędnicy, maszyniści, buchalterzy, naczelnicy... Biegna, spieszą się ale na nas nie patrzą. My idziemy w górę a oni obok nas, w dół, do wyjścia. Zostało paru ludzi, którzy gotowi byli współpracować z bolszewikami. Obeszliśmy wszystkie gabinety ministerialne, wszystkie kancelarie. Pusto, głucho. Porzucone maszyny do pisania, papiery. Wszystkie ważniejsze dokumenty pozamykane w kasach i szafach. A kluczy nie ma. Ani od szaf ani od kas.

U kogo są te klucze? Jak pracować bez pieniędzy, list płać, wykazów. Resort obejmował duży dział codziennego życia. Podlegały

mu szpitale i sanatoria, kolumny odkażania, domy wychowawcze, przytułki dla inwalidów... Ze wszech stron domagają się wypłat zarządzeń, a kluczy jak nie było tak nie ma.

A w tym ogromnym bałaganie kręci się cierpliwie mój stary chłop w siemiedzie i łapiąc z karteczką od Lenina. Każdego ranka, gdy tylko zaczynało świtać stał już u drzwi ministerstwa.

— Ja w sprawie zasiłku za konia... Piękny był koń, pracowity, silny. Żeby to był byle jaki koń nie zawańczyłby wam głowy. Ale i koń był piękny i teraz kiedy mam tutaj tę karteczkę od waszego najgłośniejszego bolszewika, nie odejdę. Doczekam się chociażbym miał jeszcze pół roku czekać... I doczekał się.

Urzędnicy kluczy od pancernych kas nie oddawali. Wykręcali się, że nie wiedzą gdzie się podziały, że sami możemy je znaleźć jak nam się do kasy spieszy. Spieszyło się nam, to prawda, więc parę osób trzeba było aresztować. Za dwa dni znalazły się klucze.

A pierwszą wypłatą jakiejś dokonałmy z kasy ludowego komisarzatu opieki społecznej był zasiłek za konia, którego carski rząd zabrał siłą i podstępem biednemu, rosyjskiemu chłopu, naszemu cierpliwemu interesantowi z małą karteczką od Lenina.

ALEKSANDRA M. KOŁONTAJ

Festiwal awangardy i eksperymentów

VII

Wiosna Muzyczna dobiegła kresu. Dużą imprezę zmontowano w tym roku sprawniej niż kiedykolwiek. Wszystkie poznańskie ważniejsze instytucje muzyczne włączyły się w wykonawstwo. Państwowa Opera przypominała swój spektakl z baletami Bacewiczówny, Woźniaka i Szostaka. Nado dyr. R. Szymanowski wystąpił z Orkiestrą Kameralną. Orkiestrę, solistów i mniejsze zespoły dała Filharmonia, częściowo PWSM i Opera. Przyjechała instrumentalność z Gdańska. Udaną „koncert towarzyszącą” przygotował zespół Koła Przyjaciół Muzyki Współczesnej przy Liceum im. Karłowicza. Dyrygował prof. J. Utrecht. Licząca blisko 50 członków orkiestra grała z 15-letnimi młodzieńcami, ale i już zaawansowaną precyzją. Przeciętny wiek uczniów: 16 lat. Dla tego zespołu napisano specjalne utwory. Najbardziej ciekawą z tych prób okazały się „Gry” Z. Guzewskiego (Poznań) czyli wyszukane zabawy dźwiękowe. Pieknie hulały „Kontrawersje” M. Makowskiego (Poznań) nie cofając się przed najdziwniejszymi efektami, świadomie prowokując słuchacza (były bisowane). W tymże koncercie współdziałał ruchliwy chór męski „Arion”, który także zaprzagnął dotrzeć do młodej muzyki. Pod batutą W. Dorożyła odśpiewano m. in. zwarty i ascetyczny „Tren VI” R. Twardowskiego (Warszawa).

Wśród codziennych imprez zwrócił uwagę II wieczór kameralny prowadzony przez Z. Szostaka. Niewielkie zespoły filharmoników odegrały utwory posiadające charakter mocno ilustracyjny: R. Gardo i Z. Penhershkiego. Sukces odniósł utwór zwłaszcza drugiego z nich, jaskrawy obrazek wielokolorowego wielokolorowego zgiełku („Muzyka uliczna”). Spośród kilku cykli pieśniarskich życzyliwie oklaskiwano „Kompozycję” Z. Bujarskiego (Kraków), niepozabawioną swoistą dramatycznością. A. Imalska z przejmującą muzikalnością śpiewała i mówiła na tle szmerów i szelestów malej orkiestry. „3 pieśni do słów Safo” A. Hundziaka (Łódź) obfitują w mordercze dla wokalistki partie. Nawet znana ekspresja W. Jakubowskiej nie potrafiła uczynić nic sensownego z owych pierwocin, irytujących przez brak wycucia tak delikatnego instrumentu jakim jest głos ludzki. Niewdzięczne „antypieśni” wyglądały na stworzone przez „antykompozytora”.

Festiwal zakończył się koncertem symfonicznym Filharmonii, znów pod wrażliwą batutą niestrudzonego orędownika współczesnej muzyki — Z. Szostaka. Teraz m. in. wykonano pracowicie skonstruowany „Exodus” K. Moszumańskiej (Kraków), wyrafinowane w barwach „Impromptu” F. Woźniaka (Poznań) i huczne, przyjemnie deformujące popularną melodykę „Obrazy świętokrzyskie” W. Rudzińskiego (Warszawa). Trudno na tym miejscu omawiać po kolei wszystkie pozycje 10 imprez kameralnych i symfonicznych. Wysłuchaliśmy na przestrzeni tygodnia bardzo wielu prac aż 40 kompozytorów, dających pogląd na to co się dzisiaj dzieje w muzyce polskiej. Zupelnie słusznie organizatorzy wyeksponowali kompozycje poznańskich twórców. Kto ma o nich pamiętać jak nie najbliższe środowisko?

Niektórzy z naszych autorów bez żenady paktują z przeszłością, snąc uważając, że na froncie gmachu Nowej Sztuki nie ma napisu: „Dostępne tylko dla eksperymentów”. Jednak większość muzyków prze naprzód i zapalczywie szuka oryginalności, choć coraz trudniej dziś znaleźć niewydeptaną ścieżkę. Rekord swoistej nonszalanacji (na pewno pozamuzycznej) osiągnął L. Ciuciura (Warszawa), który w „Spiralach” każe muzykom na estradzie: chrotać krzesłami, zdejmować buty, łapać pchły itp. itd., równocześnie też od czasu do czasu brzdąkać w instrumenty.

Obserwowaliśmy na koncertach wiele pozy, efekciarstwa i gonitwy za sensacją. Ale napotykało się i sporo prac uderzających świeżością, artystycznym smakiem i fantazją. Omawiane przeglądy nowości na pewno były jakąś ważną orientacją dla samych twórców. Szkoda, że nie trafiły do szerszych kół publiczności. Frekwencja na VII Wiosnie nie przedstawiała się źle, ale i nie świetnie. Więcej nasuwa się pytanie: czy koniecznie należy komasować kompozycje awangardowe podczas tylko jednego tygodnia festiwalowego? Czy nie lepiej rozparcelować najcenniejsze z tych prac w ciągu całego sezonu? Myślę, że po Symfonii Czajkowskiego lub Brahmsa z przyjemnością wysłuchalibyśmy „mocno szokujących” „Fluorescencji” Pendereckiego. Właśnie dla kontrastu. A nieufni i ostrożni wielkopolscy melomani mieliby sposobność poznać coś zgola odmiennego, właśnie podczas dostojnych „piątków” symfonicznych. Odmładzające zastrzyki współczesności? Oczywiście ale w sensownie dobranych dawkach, by nie wystraszyć z koncertowej sali.

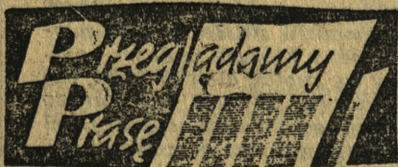
Czterdzieści lat radia w Poznaniu

Dokończenie ze str. 1

telewizja przecież nie daje. Jeśli chodzi o dane liczbowe, to przedstawiają się one następująco. W końcu 1965 roku mieliśmy w Polsce 5,6 mln. aparatów radiowych i 2,6 telewizyjnych. W Wielkopolsce w 1965 r. mieliśmy zarejestrowanych 496 000 abonentów radiowych, po roku — 499 000. A więc jednak więcej. Wzrost liczby aparatów telewizyjnych był oczywiście znacznie większy — z 154 000 do 198 000.

— Wspomniał Pan jednak, o tym że radio i telewizja powinny się uzupełniać. Jakich więc zmian programowych możemy się spodziewać w radio?

— Przede wszystkim radio musi uatrakcyjnić swój program w godzinach wieczornych od 19 zaczynając, no i dłużej nadawać program nocny. Wieczorem dominować powinna więc dobra muzyka, rozrywka, ciekawe słuchowiska, reportaże. Uważam oświadczyć, że wciąż za mało nadajemy jeszcze dobrej muzyki, że za mało mamy najnowszych nagrań, wielkich koncertów z najlepszymi solistami. W nowym studio na Ratajach, jak już powiedziałem, będziemy się starali przede wszystkim realizować taki program.

Rozmawiał:
OLGIERD BŁAŻEWICZ

Nie ma dziedziny, w której nie dałoby się czegoś poprawić, ulepszyć. Ciągła troska o to, by człowiek pracował czy postępował lepiej niż dotychczas znajduje odbicie także m. in. w wielu publikacjach prasowych, dotyczących różnych dziedzin. Oto Henryk Zieliński w „Polityce” w obszernej publikacji

DLUG HISTORYKÓW

podkreślając, że zwłaszcza w okresie obchodów Tysiąclecia margines zadłużeń polskiej historiografii znacznie się zawęził, przypomina zarazem, iż nadal pozostaje jeszcze sporo tematów i całych ich kompleksów, czekających na opracowanie. Historiografia nasza cierpi zwłaszcza na brak syntez. To rzeczywiście istotna sprawa, bo:

„Zaniechanie prób syntezy — jak pisał Zieliński — jest zapewne przyczyną stosunkowo małego czytelnictwa prac historycznych (...). Zachowanie proporcji między drobiazgową analizą a dążeniem do twórczego uogólnienia kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo wypaczenia warsztatu naukowego, jego profilu metodologicznego, a także nieprawidłowego kształtowania określonych nawyków i postaw w pracy historyka (...). Niechęć czy niezdolność do myślenia kategoriami syntezy sprawia, że szczegółowa analiza monograficzna zamiast stać się ośrodkiem do ogarniania coraz szerszej panoramy przeszłości, staje się pułapką ambicji i możliwości twórczej pracy historyka.”

Są to niebezpieczeństwa, których nauka — nie tylko historyczna — powinna unikać. Oczywiście, złożone są przyczyny ucieczki — bo o takim zjawisku już można mówić — od syntez. Niekiedy zwiędłe opracowania syntetyczne, zbliżone swym charakterem do typu podręczników, w potoczny mniemaniu wielu historyków uważane są za pozycje „nie-naukowe”. Z drugiej strony sprzyja temu polityka wydawnicza, która przez stawki honorariów autorskich stwarza antybodźce dla pozycji typu podręcznikowego.

Wskazując na konkretne przykłady Zieliński przypomina niemałe jeszcze zadłużenia merytoryczne naszej nauki historycznej w niektórych węższych dziedzinach badań. Wymienia pośród nich całkowite niemal zaniechanie problema-

tyki mniejszości narodowych w Polsce międzywojennej, kwestie związane z drogami rozwoju i degradacji polskiego parlamentaryzmu lat międzywojennych, cały krąg problematyki międzynarodowej pozycji Polski międzywojennej i jej polityki zagranicznej. W sprawach bliższych naszym dniom nauka historii nadal w swoich badaniach nie wykracza poza lata 1947/48.

MEDYCINA — EKONOMIA

Od ludzi, od ich zwyczajowo przyjętych norm postępowania zależy też — żeby przejść do innego tematu — to, jak dba się o ludzi wtedy, gdy chorują.

W takich sytuacjach często lubimy się powoływać na szkody materialne, które niosą z sobą choroby. Mówi się np., że należy zwałować gruźlicę, ponieważ wielkie są szkody ekonomiczne powodowane tą chorobą. Nie przyjmując się z reguły do szpitali ludzi nieuleczalnie chorych, bo miejsce jest mało, a przede wszystkim trzeba dbać o to, by nie zabrakło miejsca dla uleczalnych. Przykłady te podaje Tadeusz Kielanowski, sam zresztą lekarz, na łamach „ARGUMENTÓW” w artykule „MEDYCINA — EKONOMIA. MYŚLI NEURASTENICZNE SPISANE POŹNA NOCĄ”. Te impresje są bodaj pierwszą tego rodzaju publikacją. Kielanowski jest zdania, że nie można wartościować życia człowieka ze względu na to, czy jest zdrowy czy uleczalnie cho-

ry, czy też tak chory, że już się nie opta przyjąć go do szpitala. Jest, niestety, tak na całym świecie — i w krajach kapitalistycznych i socjalistycznych — że brakuje prywatnych i publicznych pieniędzy na leki, łóżka szpitalne, aparaty, pracownię badawcze, protezy. Dlatego kalkuluje się i oblicza, co się opta a co nie. Kielanowski wskazuje wyjście z sytuacji, stwierdzając, że wystarczy, w budżecie przeznaczyć na cele zdrowia większe sumy, żeby starczyło ich na łóżka szpitalne, leki i protezy dla wszystkich, którzy tego potrzebują. Skąd wziąć pieniądze?

„Niech powieże ekonomista — pisze Kielanowski — jestem ekonomistycznym laikiem, słyszałem tylko, że jeden bombowiec kosztuje tyle, ile duży szpital.”

To prawda — trzeba powiedzieć — ale warto też nie zapominać, że także samoloty bojowe jest nam potrzebny póki nam grożą imperialistyczne wojny. Bo wiemy, że naród, który nie jest wyposażony w broń, może paść ofiarą napaści wojennej. A to niesie największe niebezpieczeństwo dla życia i zdrowia człowieka.

MŁODZI — NIECIERPLIWI CZY OSTROŻNI?

Do pytania, jak lepiej postępować, sprowadza się też dyskusja na te-

mat wychowania młodzieży. Pisze w związku z nią Maria Łopatkowa na łamach „Tygodnika Kulturalnego”, broniąc wobec polemiki swojej tezy, że młodzież chętnie garnie się do prac społeczno — użytecznych (nowe świetlice, lepsze drogi) a rzadziej wykazuje swą odwagę w walce z ludzką krzywdą, cwaniactwem, zakłamaniem. To drugie autorka uważa za zjawisko niepokojące, przy czym rzecz sprowadza do takiego stwierdzenia:

„W dziedzinie wychowania społecznego konieczna jest nauka profilaktyki. Trzeba uczyć młodzież, jak należy zapobiegać rozprzestrzenianiu się chorób moralnych. Chodzi o to, by występowanie w słusznej obronie człowieka było zasadą stosowaną powszechnie. Niepotrzebna będzie wówczas ani wielka odwaga ani ostrożność. Oczywiście, zdaje sobie sprawę z odległości takiego celu. Wydaje mi się jednak, że robimy za mało aby tę odległość skracać. Może przeszkadza nam w tym zasada mądrej cierpliwości, a może bardziej pożądana byłaby zasada mądrej niecierpliwości?”

Warto się nad tym zastanowić, bo przecież kształtowanie zwłaszcza u młodzieży ambicji ulepszania świata to jedna z najważniejszych funkcji wychowawczych.

LEKTOR